

KAPUCYNI ⁱ MISJE



Biuletyn Misji Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2022, nr 2



*Bentiu w Sudanie Południowym
– misja na wodzie*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Stali czytelnicy Biuletynu zapewne zauważyli, że od jakiegoś czasu podejmujemy pracę misyjną w kolejnych krajach misyjnych. Przez długie lata bracia z naszej prowincji zakonnej pracowali tylko w Republice Środkowoafrykańskiej i Czadzie. Następnie doszła Algieria. Od dwóch lat Gabon, a od marca tego roku Sudan Południowy. W aktualnym numerze Biuletynu znajdziecie wyjątkowo wiadomości z Tanzanii i Ugandy. W ramach przygotowania do wyjazdu na misję do Sudanu Południowego brat Artur Ziarek przebywał kilka miesięcy u braci kapucynów w Tanzanii. Brat Augustyn Chwałek brał udział w formacji nowych misjonarzy franciszkańskich w Kampala, stolicy Ugandy.

Wrażenia z pierwszych tygodni pobytu w Bentiu, w Sudanie Południowym, którymi się z nami dzieli brat Robert Wieczorek, nie są zbyt zachęcające. Mamy nadzieję, że z pomocą Bożą uda się pokonać te pierwsze trudności i założyć tam placówkę misyjną. Po półrocznym pobycie brata Roberta w Bentiu jeszcze nie wiadomo kiedy i czy w ogóle uda się zamieszkać w Rubkona. Po ostatnich rozmowach naszego Prowincjała, brata Marka Miszczyńskiego z tamtejszym biskupem Stephenem ustalono, że bracia, którzy w styczniu przyszłego roku mają dołączyć do brata Roberta, zamieszkają na dwa lata w Bentiu i będą tam sprawować posługę duszpasterską oraz uczyć się języka nuer. Nadal aktualna jest wizja, że po tym okresie utworzymy struktury parafialne w Rubkona, gdzie obecnie znajduje się prowizoryczna kaplica. Parafianie to przede wszystkim obecni mieszkańcy obozu dla uchodźców (ponad 100.000 osób). Jeśli nie będzie to możliwe z powodu powodzi lub zagrożenia powodzią, istnieje pilna potrzeba, aby otoczyć opieką duszpasterską tworzące się na północ od Bentiu nowe miasto Ghorja. Tak więc wszystko jest w fazie tworzenia, nie tylko nowa placówka misyjna, ale nawet miasto, do którego możemy trafić. W tej, po ludzku patrząc, niepewnej sytuacji, tym bardziej trzeba zaufać Opatrzności



Bożej. Prosić także św. Franciszka o wsparcie, abyśmy my, jego naśladowcy, umieli tak jak on zaufać woli Bożej.

Kiedy 24 lutego wojska armii rosyjskiej napadły na Ukrainę, nikt nie wiedział ile ta wojna potrwa i jakim rezultatem się zakończy. Kiedy piszę te słowa minęła 208 noc wojennej zawieruchy i dalej nie widać jej końca. Brat Błażej Suska, kustosz Kustodii Ukrainy codziennie informuje nas o sytuacji w tych miejscowościach, w których pracują bracia. Relacje te zamieszczamy regularnie na stronie www.ukraina.kapucyni.pl Dziękujemy wszystkim, którzy modlą się w intencji pokoju na Ukrainie, wspierają tych ludzi darami oraz finansowo. Brat Błażej za każdym razem wyraża wdzięczność i zapewnienie z ich strony o modlitwie za Darczyńców.



Jak co roku w listopadzie polecamy Panu Bogu zmarłych. Zachęcamy Was do włączenia się w Wypominki Misyjne. Każdego dnia listopada za Waszych bliskich zmarłych odmawiany będzie różaniec wypominkowy przez młodych Afrykańczyków przygotowujących się w Nowicjacie do naszego życia zakonnego. A w każdą sobotę listopada w intencji zmarłych zostanie odprawiona Msza św. przez misjonarza br. Andrzeja Barszcza w Bangui, w Republice Środkowoafrykańskiej.

Kartki z imionami Waszych zmarłych można przysyłać na nasz adres pocztowy, jednak preferujemy przesłanie imion zmarłych drogą elektroniczną w mailu na adres - misje@kapucyni.pl Wypisanie imion Zmarłych w treści maila (nie chodzi o przesłanie skanu czy zdjęcia kartki z wypominkami) bardzo usprawniłoby nam pracę. Kto z Was nie ma takiej możliwości, może poprosić wnuka albo wnuczkę o napisanie maila i spełnienie tego uczynku miłosierdzia. Tym samym zaszczerpiecie w nich zwyciężaj modlitwy za bliskich zmarłych w listopadzie. Ofiary, które złożycie z tej okazji zasilą w części utrzymanie nowicjuszy, pozostałe zostaną przekazane na inne misje prowadzone przez naszych braci w Afryce. W ubiegłym roku dzięki ofiarom z wypominek brat Andrzej Barszcz w Bangui wyremontował kuchnię, wyposażył ją w nowe sprzęty, wybudował też kuchnię polową pod zadaszeniem.

Dziękuję Wszystkim Czytelnikom Biuletynu za wsparcie duchowe i materialne misji kapucyńskich. Proszę Was o szczególną modlitwę w intencji nowej misji w Sudanie Południowym. Błogosławieństwo i łaski Pana naszego Jezusa Chrystusa niech spłyną do Waszych serc, umocnią wiarę i pomogą stać się świętymi w codzienności. Ze swej strony obiecujemy modlitwę w Waszych intencjach. Królowo Pokoju – módl się za nami i za całym światem.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny



Przysłowia w języku ngambay

pisze br. Piotr Walocha, proboszcz parafii Bam w Republice Czadu

W niniejszym artykule pragnę przedstawić kolejne cztery przysłowia w języku ngambay, jednym z języków, którym posługują się mieszkańcy w Czadzie. Przysłowia w Afryce, ułożone na bazie konkretnego doświadczenia, mówią o wielu aspektach z życia ludzkiego. Poniższe przysłowia mówią o takich wartościach jak: ważność gościnności w ludzkich relacjach, umiejętność bycia wdzięcznym, roztropność w postępowaniu wobec napotykanymi trudności życiowych i znaczenie komunikacji między ludźmi. Można z pewnością stwierdzić, że przysłowia są pewną formą „szkoły”, gdzie człowiek może uczyć się mądrości życiowej.

„Nje key ge mbor rebe ul bisi ge to el”.

Nje key - właściciel domu
ge - który
mbor - obok, przy
rebe - droga
ul - hodować
bisi - pies
to - gryźć
el - negacja

Tłumaczenie: „Osoba, która mieszka obok drogi, nie powinna posiadać groźnego psa”.

Sens przysłowia: Jeśli chcesz, aby twoi znajomi czy inni ludzie często cię odwiedzali, naucz się w życiu być gościnnym.

Przykład: W Czadzie dom położony blisko drogi zwykle jest często odwiedzany. Pod warunkiem, że osoby odwiedzające nie są zniechęcone przez jakieś okoliczności: na przykład gdy w domu jest groźny pies lub wtedy, gdy właściciel domu nie jest życzliwym człowiekiem. To przysłowie przypomina, że każdy ma stworzyć odpowiednie warunki, aby jego dom był gościnny i otwarty na przyjęcie gości.

„Ose ila gel ko de daa a so, bo ose ila gel dew de daa a tel toli”.

Ose ila - wspierać
gel ko - łodyga zboża
daa - zatem
so - jeść
bo - ale
gel dew - człowiek
a tel - w zamian
tol - zabić

Tłumaczenie: „Jeśli wspierasz łodygę zboża, będziesz jadł ziarna z jej kłosów, ale jeśli wspierasz osobę, może ona zamiast wdzięczności bardzo ci zaszkodzić.”

Sens przysłowia: ludzka niewdzięczność

Przykład: Aby wyprostować młodą łodygę zboża w polu, która opadła na ziemię z powodu deszczu lub wiatru, otacza się ją skibą ziemi. Jeśli rolnik uczyni te prace, będzie mógł jeść ziarno z kłosów zboża, które uratował. Niestety, nie zawsze dzieje się w ten sposób w ludzkich relacjach. Na przykład dziecko, które straciło rodziców, i które weźmiesz pod swą opiekę, być może stanie się w przyszłości twoim nieprzyjacielem. Stąd w życiu należy liczyć się z brakiem ludzkiej wdzięczności.

„Nje ndem al do ba el”

Nje ndem - człowiek, który się zgubił
al - przemierzać, przepływać
do ba - rzeka
el - negacja

Tłumaczenie: „Ten, co zgubił się w drodze, nie powinien przepływać na drugi brzeg napotkanej rzeki, gdyż czyniąc to, jeszcze bardziej oddali się od celu swej podróży.”

Sens przysłowia: Należy uważać, aby nie pogorszyć trudnej sytuacji, w której się ktoś znalazł.

Przykład: Rodzice wysłali swojego syna do mechanika, aby naprawił przedni hamulec roweru, który zepsuł. Udając się w drogę, wsiadł na rower i zanim dotarł do mechanika zepsuł również tylny hamulec. Mechanik widząc co się stało z rowerem, zacytował chłopcu przysłowie: „Ten co zgubił się w drodze, nie przepływa na drugi brzeg rzeki”.

„Tar ay ngode unda kunda”.

Tar - słowo
ay ngode - biegać
unda - bardziej
kunda - koń

Tłumaczenie: „Słowo galopuje szybciej niż koń”.

Sens przysłowia: Wiadomości rozpowszechniają się szybko.

Przykład: Pewnego dnia osoba z grupy etnicznej ngambay pojechała do miasta Sarh (stolica regionu mieszkańców z grupy etnicznej Sara), oddalonego o trzysta kilometrów od swojej wioski, aby odwiedzić swoich przyjaciół. W czasie powitania przyjaciele z Sarh proszą przybysza o przedstawienie szczegółów z wydarzenia, które miało miejsce dzień wcześniej w jego wiosce. Osoba jest bardzo zaskoczona, że wiadomość tak szybko dotarła do mieszkańców Sarh. Wyrażając swoje zdziwienie, cytuje swoim przyjaciołom przysłowie: „Słowo galopuje szybciej niż koń.”

Z pozdrowieniami i darem modlitwy z Czadu

br. Piotr Walocha



Afryka, Gabon i czary

pisze br. Piotr Michalik z Cocobeach

Gdy ktoś przyjeżdża do Afryki, wcześniej czy później zderza się z tajemniczą i często złowrogą rzeczywistością czarów... Mało się o niej mówi, misjonarze też mało o niej piszą. Dlaczego? Przyczyn jest sporo.

W Europie wiele osób, w tym również katolicy, nie wierzy w to, że istnieje zło osobowe – szatan. Jeszcze więcej osób absolutnie odrzuca przekonanie, że można czynić zło metodami wymykającymi się racjonalnemu tłumaczeniu. Czary to dla nich zabobon ciemnego średniowiecza, w której osoba rozumnie myśląca nie może wierzyć. Dlatego jest to śliski grunt, na który nikt nie chce wchodzić, bo wie, że w najlepszym wypadku czytający przyjmą jego wynurzenia lekceważącym wzruszeniem ramion czy kiwnięciem z politowaniem głową. Trudno, przyjmując to mężnie i podejmując ryzyko.



Problem czarów w Afryce jest bardzo skomplikowany, mało komu udaje się sensownie i obiektywnie go rozgryźć. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę bardzo wiele aspektów: strach, ignorancję, przesady, znajomość psychologii i technik manipulacyjnych, mentalność, kulturę konkretnych ludzi i całego społeczeństwa, znajomość natury i jej właściwości (zioła, trucizny, wywary halucynogenne itp.), ludzką zawiść, a do tego wszystkiego jeszcze – działanie złego ducha... Oczywiście, punktem wyjścia jest fakt, że istnieją ludzie, którzy albo w sposób zupełnie świadomy decydują się czynić zło innym, albo nieświadomie stają się narzędziem zła. I teraz, gdy mam przed sobą konkretny przypadek i muszę rozstrzygnąć, wierzyć mi, nie jest to łatwe. Jeden stary misjonarz



powiedział mi, że cmentarze w Afryce są pełne grobów ludzi niewinnie oskarżonych o czary. Myślę, że miał sto procent racji, dlatego zresztą jedną z naszych prac misyjnych jest ochrona ludzi niewinnie prześladowanych.

Kolejnym powodem, dla którego misjonarze nie za wiele piszą o czarach, jest fakt, że zajmowanie się nimi – ich rozumienie i przeciwdziałanie im – nie należy do ich głównych zadań. Ponadto jest to trochę wstydlawy temat i w ramach „poprawności politycznej” lepiej go nie poruszać...

Ponieważ nigdy nie lubiłem „poprawności politycznej” i w miarę możliwości staram się Wam przedstawiać całościowy obraz tutejszej rzeczywistości, odważyłem się poruszyć ten temat. Nie w sposób syntetyczny – przerasta to moje kompetencje – ale chcę przedstawić pewne spostrzeżenia i przemyślenia związane z konkretnymi spotkaniami i przeżyciami.

Gdy teść okazuje się adeptem czarnej magii

W połowie października płynąłem naszą łodzią do wioski nad rzeką. W jednej z nich, Aboune, miałem zatwierdzić nowego katechistę, którego ludzie w tej wiosce sami sobie wybrali. Gdy dotarłem na miejsce, szef wioski Daniel przedstawił mi kandydata. Był nim Ernest, czterdziestoletni, sympatyczny i poważny człowiek. Ponieważ chciałem go trochę lepiej poznać, a także przekazać podstawowe zasady bycia katechistą, poprosiłem, żeby na spotkanie przyszedł razem z żoną. Jednym z tematów wspólnej rozmowy była kwestia ich przygotowania do sakramentu małżeństwa. Stwierdzili, że bardzo chcieliby przyjąć ów sakrament, ale jest jeden problem. I tu zaczyna się cała historia...

Purification, żona kandydata na katechistę, pochodzi z Gwinei Równikowej. Ma tatę Gaëtana i na jego cześć Ernest i Purification pierwszego syna nazwali Gaëtan. Jak to często tutaj bywa, wnuczek pojechał mieszkać z dziadkiem. Niestety, dziadek tkwił po uszy w jakichś ciemnych praktykach (czarna magia) i gorliwie inicjował w nie swojego wnuka. Gdy pewnego dnia dziadek nakazał mu zabić czarami własną mamę, a swoją córkę, mały Gaëtan powiedział na szczęcie: „Jeśli zabiję mamę, to kto mi zostanie?” i odmówił. Chłopiec wrócił do rodziców, a dziadek oczywiście tego przeciwstawienia się mu nie przebaczył.

Dziecko zaczęło chorować. Za każdym razem, gdy jechali do szpitala, objawy zniknęły, ale po około dwóch tygodniach dziecko na nowo zaczynało chorować. I tak w kółko. W końcu rodzice zdecydowali się udać do ngangi. Nganga to człowiek uprawiający białą magię, ale mogący też posiadać znajomość czarnej; może mieć powiązanie z kultem Bwiti, a może nie mieć żadnego związku z nim. Nganga to pojęcie dosyć szerokie i nie do końca zdefiniowane. W każdym razie wielu Afrykańczyków w różnych sprawach udaje się do taki ludzi po radę.

Ów nganga stwierdził, że choroba chłopca to wynik rzucenia na niego uroku przez dziadka. Żeby dziecko odzyskało zdrowie, dziadek musiałby odczynić urok. Rodzice pojechali więc do dziadka, który przyznał się do winy i razem udali się do ngangi, by odczynić urok. Tam dziadek odmówił odczynienia czarów, jednak nganga przymusił go, żeby zrobił to, czego od niego żądano. Efekt: mały Gaëtan przestał chorować...

Pozostaje problem relacji Ernesta i Purification z ich teściem i tatą. Dziadek chce, by jego córka opuściła Ernesta. Odgrza się, że jeżeli ona tego nie zrobi, on zażąda wielkiej kwoty jako posagu. I zakazuje zięciowi wstępu do domu. Oczywiście po tym, co zrobił dziadek, Ernest i Purification ani myślał pojawić się w jego wiosce... Sprawa jest nadal nie rozwiązana, oby skończyła się dobrze.

Gdy dziewczyna zazdrości syrenom

W ostatnich tygodniach działy się w Cocobeach dziwne rzeczy. Pewne dziewczyny, w różnym czasie i w różnych miejscach, przeżywały ciężkie chwile. Jakieś głosy i postacie je prześladowały, budziły strach, groziły. Niekiedy w tych zmorach dziewczyny rozpoznawały kogoś konkretnego, przeważnie kogoś z rodziny. Tracąc przytomność, padały na ziemię, krzyczały, miały konwulsje i niekiedy nawet trzem osobom było ciężko je utrzymać. Gdy powoli świadomość im wracała, były wymęczone, miały błędny wzrok. Zdarzało się, że ataki trwały godzinami, a po kilku dniach następowała powtórka.

Wzywano nas, kapłanów, by się nad nimi modlić. Modliłem się więc, a jednocześnie szukałem wyjaśnienia tych zdarzeń. I powoli dochodziłem do wniosku, że to nie jest tylko i wyłącznie wynik choroby fizycznej czy psychicznej, nie jest to też wynik zażywania ibogi (tutejszego halucynogennego narkotyku) – tu działają jakieś złe siły. Jednego razu, po kolejnym różańcu, katechetka Jeanne poprosiła mnie o pomoc. Podszedłem do Niny (jednej z cierpiących dziewczyn), położyłem rękę na jej głowie i zacząłem modlitwę



rzy żyją z dnia na dzień w innych krajach Afryki. Jest również drugie powiedzenie: *pole, pole*, czyli „powoli, powoli”... Ten zwrot jest bardzo często używany na szlaku na Kilimandżaro, i przypomina turystom, by się nie spieszyć w zdobywaniu szczytu. Szczyt ten ma 5895 m n.p.m., więc organizm musi się zaaklimatyzować do panującego tam ciśnienia. Często ci, którzy się śpieszą na szczyt, wysportowani, młodzi ludzie nie zdobywają go wcale, zapadając po drodze na chorobę wysokościową. *Pole, pole* to mądre powiedzenie, mówiące nie tylko o tym, by się nie spieszyć w marszu, ale by być dokładnym i wytrwałym w dążeniu do celu.

Jeden dzień przeżyłem z Masajami, koczowniczym plemieniem, które zajmuje się wypasaniem zwierząt. Jak wiadomo każdy pasterz pasąc stada korzysta z drewnianej laski, na której się wspiera, która służy do wskazania kierunku i obrony przed dzikimi zwierzętami: hienami, lwami, gepardami, których w Tanzanii nie brakuje. Podczas mojego pobytu lokalna prasa pisała o trójce masajskich dzieci rozszarpanych przez lwy. Przebywając wśród nich poznałem ciekawy zwyczaj. Miejsca modlitwy są oddzielone przez czasowo wybudowane ogrodzenie, by zwierzęta nie wchodziły i nie zakłócały czasu modlitwy. Mężczyźni swoje kije pasterskie zawsze zostawiają przed wejściem na teren modlitwy, gdyż laskę pasterską traktują jako broń, a wydzielony teren modlitwy jest miejscem spotkania z Bogiem, a więc miejscem pokoju.



Po zakończeniu liturgii członkowie plemienia poczęstowali mnie mlekiem, jak na Masajów przystało. Dodam, że od dziecka nie lubiłem mleka i do tej pory go nie lubię, ale prze mogłem się i wypilem kilka łyków, by uszanować gospodarza, a resztę oddałem dzieciom. Na drogę otrzymałem laskę pasterską, by w przyszłości przewodzić ich braciom jako ich kapłan.

W Tanzanii spotkałem polskich misjonarzy, którzy pracują w trudnych miejscach, gdzie nie ma elektryczności i bieżącej wody. Często używają deszczówki zbieranej w czasie pory deszczowej. Spotkałem również siostry zakonne z Polski, które oddają się bardzo trudnej i specyficznej posłudze



Albinosom prześladowanym w Tanzanii. Często dają im schronienie, dom, edukację i potrzebne wsparcie.

Miałem okazję zwiedzić wiele braterskich wspólnot w Tanzanii. Bracia w wielu miejscach zajmują się szkolnictwem, budują szkoły, zarządzają nimi, a także uczą w nich wielu różnych przedmiotów takich jak matematyka, fizyka, biologia itd. Są kapelanami w szpitalach i w więzieniach, wykładają na uniwersytetach, prowadzą ośrodek dla niepełnosprawnych dzieci, mają farmy zwierząt i gospodarstwa rolne, które często pomagają w utrzymaniu się braci i pobliskiej, gorzej sytuowanej społeczności.

Mieszkając tam zrozumiałem, jak mogą wyglądać nasze misje w Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej za 40 lat i w jakim kierunku powinny się rozwijać. Zobaczyłem, że nasza działalność misyjna wydaje dobre owoce. Mam nadzieję, że spostrzeżenia i doświadczenia zdobyte w Tanzanii przydadzą się w tworzeniu naszej nowej misji w Sudanie Południowym.



Międzyfranciszkański kurs misyjny w Ugandzie (Kampala 10 VI - 24 VII 2022)

pisze br. Augustyn Chwałek OFMCap

Do stolicy Ugandy – Kampali, pojechałem na kurs przygotowawczy przed wyjazdem na nową misję w Sudanie Południowym. Znalazłem się tam na zaproszenie naszego Generalnego Sekretariatu Misyjnego w Rzymie i oczywiście za pośrednictwem naszego Ministra Prowincjalnego. Po przerwie covidowej trzy gałęzie franciszkańskie (Bracia Mniejsi, Bracia Mniejsi Konwentualni, Bracia Mniejsi Kapucyni.) zrewidowały dotychczasowe doświadczenia dotyczące kursu misyjnego w Brukseli i zmieniono nieco jego formułę. Kurs po raz pierwszy odbył się w Afryce, na kontynencie, na którym pracują lub będą pracowali uczestnicy kursu, a nie jak dotychczas w Europie. W przyszłym roku planowana jest edycja kursu w Azji, a za dwa lata być może w Europie - dla braci, którzy przybyli z innych kontynentów aby tutaj pracować.

„Africani per Africa” - mówił Daniel Comboni, wielki ewangelizator Afryki, szczególnie Sudanu (w II poł. XIX w.), który miał wizję, aby Afrykę ewangelizowali Afrykańczycy. Patrząc na naszą grupę uczestników zaproszonych na kurs, można powiedzieć, że jego pragnienie spełniło się po latach. W sumie było nas piętnastu uczestników. Afrykę reprezentowało dziesięciu braci, Europę - trzech, a Azję i Amerykę Północną po jednym. Z małymi wyjątkami wszyscy już, choćby kilka miesięcy, pracowali na misjach, co jest bardzo cenne podczas wymiany doświadczeń.

Na bramie wjazdowej do Mununyo - miejsca naszego kursu widnieje starożytny napis: „krew męczenników posiewem chrześcijan”. Napis odnosi się do świętych męczenników z Ugandy, którzy zginęli właśnie w tym miejscu. W Mununyo znajduje się grób św. Andrzeja Kaggwa - patron katechistów, oraz miejsce męczeńskiej śmierci św. Denisa Ssebuggwawo i św. Pontiana Ngondwe. Pozostali z męczenników byli straceni kilka kilometrów dalej w Namugongo. Męczennicy byli dworzanami króla Mwangi II, który, jako 17-to letni chłopak rządził w ówczesnym królestwie

Bugandy. 26 maja 1886 r. król zgromadził całą swoją służbę i oznajmił, że nie chce chrześcijan na swoim dworze. Dał im do wyboru dwie możliwości: albo zrezygnują z wiary chrześcijańskiej, albo zostaną skazani na śmierć. Pierwszym z męczenników był Denis Ssebuggwawo. Skazany 25 maja, został stracony następnego dnia. Tego samego dnia do Mununyo, przed króla, zostali wezwani wszyscy pozostali chrześcijanie, którym przewodził Karol Lwanga. Ponieważ nie wyparli się Chrystusa, król wydał wyrok na 45 chrześcijan (22 katolików i 23 anglikanów), których okrutnie zabito w Namugongo 3 czerwca 1886 r. Papież Paweł VI kanonizował 22 męczenników w 1964 r. Mununyo jest więc miejscem szczególnie sprzyjającym duchowemu przygotowaniu i refleksji nad chrześcijańskim powołaniem misyjnym.



Uczestnicy kursu, br. Augustyn pierwszy od lewej w dolnym rzędzie

Kampala Mununyo Sanktuarium leży nad Jeziorem Wiktorii, w jednej z najbogatszych dzielnic stolicy Ugandy. Tu, gdzie dzisiaj stoi piękny kościół, kiedyś stał pałac króla, więc dalej mieszka tutaj król, albo raczej Król nad królami. Tu gdzie stoi obecnie dom zakonny Braci Konwentualnych, czyli nasze mieszkanie, kiedyś było więzienie, w którym przetrzymywano męczenników.

Męczennicy z Ugandy, módlcie się o mocną wiarę tam gdzie Chrześcijanie żyją w niebezpieczeństwie i muszą cierpieć z powodu Chrystusa. Niech prześladowani Chrześcijanie za naszym pośrednictwem otrzymają odwagę, zapal i radość, którą wy okazaliście. Pomóżcie, też nam, którzy żyjemy w kraju gdzie Kościół swobodnie może wzrastać, być bardziej świadomym i solidarnym z Kościołami w innych częściach świata, które są prześladowane.

Jeszcze do 2013 roku na tym miejscu rósł las. Dzisiaj to piękny, nowy kompleks, z detalami zaprojektowany przez miejscowych architektów – z okrągłym kościołem nawiązującym do afrykańskiej chaty oraz wieloma innymi miejscami gdzie można się zatopić w osobistej modlitwie. Trwa budowa kaplicy Jezusa Miłosiernego do nieustannej adoracji Najświętszego Sakramentu. Miejsce, na którym stoi sanktuarium od początku zostało powierzone Braciom Mniejszym Konwentualnym (z Polski), którzy wznieśli te wszystkie budowle i z oddaniem pomagają wzrastać duchowo tutejszemu kościołowi. W 2015 roku miejsce to odwiedził Papież Franciszek, w 2017 odbyła się konsekracja kościoła a w 2019 kard. Robert Sarah podniósł świątynię do rangi Bazyliki Mniejszej. W 2022 roku zamieszkaliśmy tutaj my, 15 braci franciszkanów, by przygotować się do misji...

Kurs, w którym uczestniczyliśmy, można było nazwać intensywnym, ponieważ to, co w wersji wcześniejszej było realizowane w 12 tygodni, my zrealizowaliśmy w 6 tygodni. Wykłady pierwszego tygodnia dotyczyły ogólnego pojęcia o kontynencie afrykańskim, problemów zdrowotnych na misjach i historii ewangelizacji Afryki. W drugim tygodniu zajmowaliśmy się podstawami misjologii (biblijnej, teologicznej, historycznej, eklezjologicznej, afrykańskiej i franciszkańskiej).

Na kolejnych wykładach poznawaliśmy zagadnienia inkulturacyj w Afryce, ekonomii, realizowania projektów, dobroczynności, ewangelicznego ubóstwa i wiele innych. W weekendy poznawaliśmy tutejszy Kościół, jego potrzeby, mocne i słabe strony.

Oprócz wykładowo-seminaryjnego toku, każdy z nas miał odbyć swoistą „duchową podróż misyjną” w głąb swojego powołania misyjnego. Co wieczór, któryś z nas przedstawiał swoją pracę, jej blaski i cienie, wyzwania i radości. Chodziło o to, aby poznać swoje mocne i słabe strony w historii powołania misyjnego. Odkryć właściwy

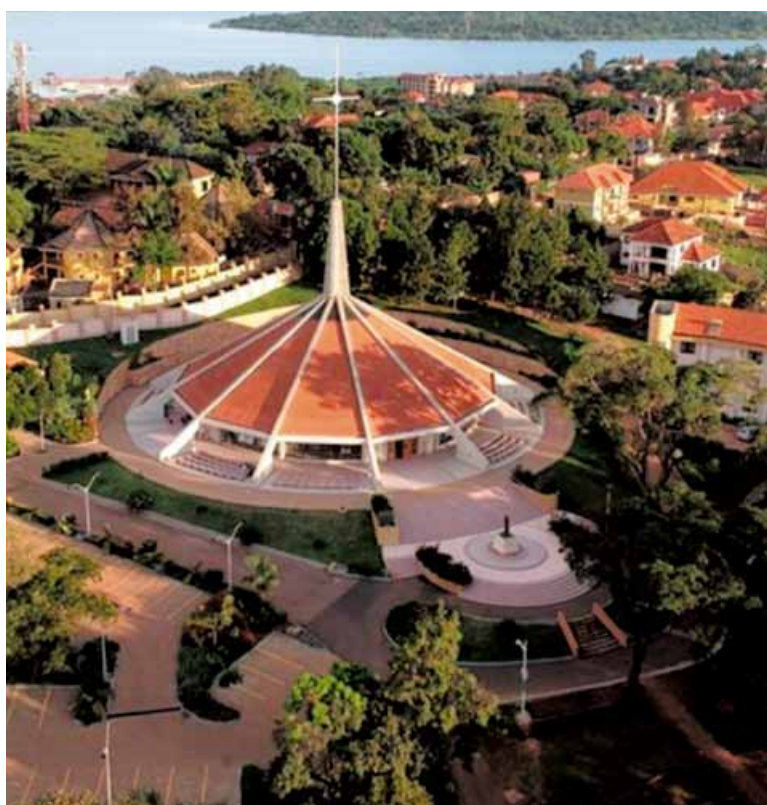


Pomnik św. Andrzeja Kagqwa



Pomnik św. Denisa Ssebugwawo

kierunek osobistego rozwoju i wzrostu w kontekście misji, pogłębić wartości, na których można oprzeć się wobec wyzwań misyjnych.



Sanktuarium Mununvo w Kampali

«Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu! Kto uwierzy i przyjmie chrzest, będzie zbawiony; a kto nie uwierzy, będzie potępiony. Te zaś znaki towarzyszyć będą tym, którzy uwierzą: w imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą; węże brać będą do rąk, i jeśliby co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić. Na chorych ręce kłaść będą, a ci odzyskają zdrowie». Po rozmowie z nimi Pan Jezus został wzięty do nieba i zasiadł po prawicy Boga. Oni zaś poszli i głosili Ewangelię wszędzie, a Pan współdziałał z nimi i potwierdzał naukę znakami, które jej towarzyszyły. Mk 16, 15 - 20



Bentiu - wyspa pośród lądu

pisze br. Robert Wieczorek z Sudanu Południowego

Powoli miją 7 miesięcy, jak znalazłem się w Sudanie Południowym. Na początku, po załatwieniu niezbędnych formalności związanych ze stałym pobytem i papierami do tego niezbędnymi, uczestniczyłem w sesji wprowadzającej dla nowoprzybyłych misjonarzy. Organizuje ją Konferencja Wyższych Przełożonych Zakonnych Sudanu Południowego w bardzo ładnym miejscu – specjalnym ośrodku rekolekcyjno-formacyjnym o nazwie Kit. Jest on położony niedaleko stolicy, ale po drugiej stronie Nilu, od wschodu, przy drodze do Ugandy. W tym zrujnowanym przez wojnę i inne katastrofizm kraju są jednak rzeczy dobrze urządzone i warte pokazania...

Aby podróżować po Sudanie Południowym na dalsze odległości, trzeba latać, a nie jeździć. Tak jest urządzone to państwo, że widocznie musiało wydać się łatwiejszym zorganizowanie w co znaczniejszych miejscowościach pasów startowych i siatki połączeń lotniczych niż budowanie dróg. Czy to efekt wyborów poczynionych przez władze tego najmłodszego państwa na świecie? (Minęło zaledwie 11 lat, odkąd Republika Sudanu Południowego uniezależniła się od północy Sudanu i muzeumńskiego rządu w Chartumie). Raczej nie. Po prostu zastano już taką sytuację wykreowaną przez poprzedników. Jesteśmy w końcu w XXI wieku i samoloty różnego typu są do pozyskania w świecie. To swego rodzaju skok ponad etapami ewolucji: bez dróg, ale jest czym latać. Papuasi podobnie – z epoki kamienia gładzonego przeskoczyli w ostatnim pokoleniu w erę komputerów. Ale tak dla sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że po bezkresnych terenach Syberii też się częściej lata między rzadkimi miastami, niż jeździ przez niegościnnie błota w lecie i góry śniegu w zimie. Bez terenowego samochodu tam też nigdzie się nie ruszysz.

Paradoksalnie, do wspomnianego skoku przyczyniła się też chroniczna wojna domowa i związany z nią kryzys humanitarny. Liczne agencje ONZ i organizacje humanitarne podjęta na szeroką skalę działalność organizowały drogą powietrzną, aby w ten sposób ją usprawnić. W warunkach wojennych drogą powietrzną dotrze się do celu szybciej i bezpieczniej. Drogi tymczasem nie dość, że niebezpieczne, to w wielu miejscach są w ogóle trudne do wytyczenia. Obrazowo można stwierdzić, że jeśli transport w tym kraju ma głowę w chmurach, to nogi w błocie.

Jest to bowiem porośnięty sawanną, rozległy płaskowyż ciągnący się od dżungli do krańców Sahary. Napływający z Ugandy Nil Biały nie spotyka tu żadnych naturalnych przeszkód. Dodatkowo spadek terenu jest minimalny, stąd też w centralnej części kraju wody Nilu Białego rozlewają się w labirynt utworzony przez setki odnóg. A odybwy popa-

trzeć z lotu ptaka na ten teren, to do Nilu Białego dołączają jeszcze liczne lewobrzeżne dopływy, odprowadzające wody z całej zachodniej części kraju, aż spod granicy z RŚA. Woda w wielu miejscach praktycznie stoi, tworząc masę rozlewisk i płytkich jezior. Najważniejszym z tych dopływów jest Bahr-al-Gazal. I tam, u jego dolnego biegu, usadowiło się miasto Bentiu, stolica federacyjnego stanu Unity.



Od czasu mego ostatniego pobytu tutaj, przed rokiem, sytuacja lokalna uległa radykalnej zmianie. Biskup Stephen z tutejszej diecezji Malakal poprosił nas, braci kapucynów, byśmy przejęli tamtejszą parafię z rąk dotychczasowego proboszcza (chciałby go posłać na studia). W pierwotnych założeniach mieliśmy wprowadzić zamieszkać na początku w Bentiu, ale z myślą, by podjąć się odbudowy sąsiedniej parafii w Rubkona, o kilkanaście kilometrów na północ, po drugiej stronie rzeki. Diecezja otrzymała bowiem dokument potwierdzający, że ta dawna misja należy do niej. A jest to, jak na afrykańskie warunki, stara placówka: tamtejsza parafia pod wezwaniem Matki Bożej Różańcowej została ufundowana



dowana 95 lat temu. Niemniej po drugiej wojnie domowej w Sudanie (toczącej się od lat 80-tych ubiegłego wieku do początków obecnego) z kościoła i domu pozostała tylko kupa gruzu i żelastwa.

No i co z tego ludzkiego planowania, jeśli owe oddane Kościołowi 10 hektarów ziemi – i przy okazji połowa miasta – po upływie zaledwie paru miesięcy znalazły się pod wodą? W czasie ostatniej pory deszczowej przyszedł bowiem tak wielkie opady, że buldożery ONZ-owskie (całe szczęście, że były na miejscu) zdołały z biedą usypać wały, by ocalić pas startowy, obóz dla uchodźców (mrowisko 130 tysięcy ludzi żyjących od 8 lat pod namiotami) i przynajmniej część zamieszkałych terenów obu miast. Bahr al-Gazal rozlała się na połacie całych kilometrów, występując ze swoich brzegów. Teraz zbliża się już ku końcowi pora sucha, a woda jak stała, tak dalej stoi. Strach pomyśleć, co będzie, kiedy zaczną się nowe opady i dołożą kolejną porcję wody. To dziwny kraj i inna ziemia niż ta, jaką znam dotychczas z Afryki Centralnej. Tam nieraz ulewy były takie, że Europejczycy trudno je sobie wyobrazić. A jednak czego nie zabrały wezbrane strumienie rzeki, była w stanie wchłonąć nienasyconą, zdawałoby się, czerwona ziemia. Tu jest inaczej. Ziemia to jakaś tłusta glina – w porze suchej zmienia się w spękaną skorupę, a po deszczu klei się błotem do podeszew i w ogóle nie wykazuje właściwości higroskopijnych. To tłumaczy może, czemu po tylu miesiącach suszy nie widać specjalnie poprawy sytuacji.



Dopiero kiedy przyjrzałem się temu z bliska, dotarło do mnie, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy. Ocalały z powodzi teren przypomina na planie jakby nakreśloną ogromną ośmioką: jej dolna pętka to Bentiu na południu, przewężeniem jest most na rzece z drogą do drugiej pętki, czyli Rubkona na północy. A wszystko to – jak wzrokiem sięgnąć – otoczone jest zalaną sawanną. To wyspa pośrodku afrykańskiego łądu! W samym wnętrzu tej enklawy jest sucho jak na spieczonym stepie, księżycowy krajobraz ruin, pełen pyłu i wszędobylskich śmieci, nieliczne drzewa i palmy pośród ocalałych domów, ale większość ludzi gnieździ się w naprędce

skleconych szalaso-plandekach. Brzydko – przygnębiający widok. Jedynie drogi wytyczone w regularną szachownicę zostały ostatnio przywrócone do stanu używalności. Paradoks losu polega na tym, że właśnie przed pół roku część odważniejszych ludzi z POC, czyli obozu ochrony cywilów, zdecydowała się wreszcie na próbę powrotu do swych dawnych sadyb, skąd uciekli kiedyś przed walkami. I ledwo się zdecydowali, powódź zagnała ich z powrotem do obozu.



Kościół w Rubkona

Jak Pan Maluskiewicz po wielorybie, można tutaj sobie pojeździć tam i z powrotem, od miasta do miasta (krążą tu takie lokalne busy Bentiu – Rubkona), ale już nigdzie dalej. Na dobrą sprawę dałby człowiek radę piechotą obejść to uniwersum w ciągu jednego dnia. Jedziesz szeroką drogą, prowadzącą kiedyś do roponośnych instalacji wiertniczych, dwupasmową, z pasem słupów będących wspomnieniem niegdyśszego oświetlenia pośrodku, a po paru kilometrach – wał w poprzek. Wejdiesz nań, a za nim... przystań łódek. I droga ciągnie się dalej, tyle, że pod wodą. Lustro wody znajduje się jakiś metr powyżej poziomu naszej ocalałej od zalania depresji. Niderlandy, dosłownie... Przed rokiem, spotkałem w obozie uchodźców w Rubkona polskiego oficera marynarki wojennej. Dziwiłem się, co on tu robi pośród afrykańskiego łądu. Teraz miałby gdzie żeglować...

Doszły do mnie wieści, że na północnym kierunku spychacze i koparki zjednoczonych sił humanitarno-oenietowskich walczą o udrożnienie połączenia z drogą do Sudanu. Ale póki co, wszystko – dosłownie – przywożone jest tu drogą lotniczą. Codziennie nad domem słyszę kilkanaście razy głos silników samolotowych. I jeśli coś można tu kupić na lokalnym bazarze, a jest tego raczej niewiele, to w opinii mego otoczenia wszystko jest droższe trzy razy niż w stolicy kraju. Jeden jest tylko plus tej sytuacji: masa ryb do jedzenia. Targowisko na wałach przeciwpowodziowych robi wrażenie. Po południu do przystani wpływają łodzie z owocami całodziennego pracy: całe stosy dużych, dorodnych ryb – na tony by liczył. W przeciwieństwie do artykułów w sklepach, ryby kosztują śmiesznie mało. Za równowartość dolara dostaniesz rybę wielkości ręki mężczyzny.

Rybaczy przypluwają łódkami spośród podtopionych drzew i zarośli, na poły już uschniętych (z nadmiaru wody!), i zanurzonych po strzechy domów. Większość chat ocalała do tej pory, mają strzeliste dachy zrobione z lokalnej trzciny, często bardzo ładnie, równo przystrzyżone. Ale zalane zostały też większe budynki, sklepy i magazyny, również nasz duży blaszany hangar, służący za tymczasowy kościół w Rubkona. Żal. Masa zniszczeń. Człowiek bezradnie rozkłada ręce.



Rozmawiam z poznanymi na sesji misjonarzami z sąsiednich misji. Ich sytuacja jest jeszcze bardziej niepewna. W Leer – miejscowości leżącej w Unity, tym samym, co Bentiu stanie – nie ma żadnych maszyn. Wały przeciwpowodziowe ludzie usypali siłą własnych rąk. Skupili się w swych prowizorycz-



nych schronieniach na przewyższeniu terenu wokół misji katolickiej. Kiedyś w mieście Leer mieszkało kilka tysięcy ludzi – teraz jest ich dziesięć razy więcej. Potracili w wodzie większość bydła (Nuerowie trudnią się głównie hodowlą, więc to ekonomiczna tragedia). Jeżeli woda w czasie najbliższej pory mokrej sięgnie ponad te usypane umocnienia, to nie będzie innego wyjścia, jak wsiadać w łódki i szukać najbliższego suchego łądu – siedem godzin minimum!

Br. Artur Ziarek potwierdza z Tanzanii, że notuje się powszechnie wzrost poziomu wód w jeziorach Wielkiego Rowu Afrykańskiego. Jeżeli tej wody faktycznie więcej ulewa się na południu, to nie dziwota, że na tutejszym przewyższeniu następuje jej kumulacja. A tymczasem w Tigrai, przy okazji sporu o wielką tamę na Nilu Niebieskim, biją się z powodu wody. Zapełniać ten zalew czy nie? Niby ma to być wewnętrzna sprawa Etiopczyków, ale wszyscy i tak wiedzą, że Egipt i Sudan boją się, że na północy może im tej wody zabraknąć. Tymczasem my tu, w Sudanie Południowym, stojąc po szyję w wodzie, wołamy: Boże, dosyć deszczu! Może by się ktoś mądry znalazł, co by umiał jednym ująć, a innym przydać? Wtedy zaporą na Nilu Niebieskim dawałaby elektryczność Etiopii, Egipcjanie i Sudańczycy mieliby co pić, a my, znad brzegów Nilu Białego, moglibyśmy nogę gdzieś sucho postawić...

Proboszcz mi mówi, że ludzie chcieliby zabrać się za odbudowę i zrobić coś koło siebie, ale jak tu coś zacząć, jeśli



jutro wszystko może znaleźć się pod wodą? Nie inaczej jest też z naszą misją. Parafia św. Marcina de Porres istnieje tu od czterdziestu lat. Miejsce do modlitwy trudno nazwać kościołem, bo to hangar zespawany z żelaza i pokryty blachą, przyczepiony do resztek po pierwotnej kaplicy. Niski, płaski i ciemny. Ważne jednak, że jakaś ochrona przed słońcem czy deszczem jest nad głową. Na porannej Mszy świętej bywa kilkanaście osób. Ale już w niedzielę całe miejsce jest wypełnione ludźmi po brzegi. Nie ma tu ławek, natomiast rozkłada się plastikowe fotele, na co dzień spiętrzone pod ścianami. Mają ich tutaj kilkaset.



Dom jest przyzwoity. Ma dwa większe pokoje, jeden mały, jadalnię i jakiś magazyn. Jest sień, mała weranda, no i wychodek w formie najprostszej do wyobrażenia. Woda bieżąca będzie, jak ją sobie w wiadrze przyniosę z pompy obok domu. Takie harcerskie warunki, ale to i tak komfort. Światło wieczorem zapewnia instalacja kombinowana z paneli słonecznych ładujących akumulatory i inwerter z prądu stałego na zmienny 220 V. Gdy wieczorem siadę pod ścianą pod jedną żarówką w moim pokoju, to jakoś da się coś przeczytać. Można też doładować telefon, a funkcjonują na miejscu dwie sieci komórkowe, więc jakieś pasmo internetu jest do wyłapania – tyle że kosztuje sporo. W pokoju mam dwa okna z siatkami, więc żadne bestie się po nocy nie palętają, a na żelaznym łóżku jest zainstalowana moskitiera. Śpię więc spokojnie, na ile się da spać w temperaturze ponad 30 stopni C. Natomiast oprócz niedużego stolika i trzech plastikowych krzeseł ogrodowych, nie mam żadnych mebli. Trochę z tym bieda, bo nie ma gdzie położyć tych paru książek i gdzie trzymać ubrania? Jak przywiozę drugą walizkę, to ustawię jeszcze parę takich plastikowych krzeseł i tak pod ścianą porozkładam moje „ubóstwo”. Do miasta po zakup mebli nie pojadę, bo tu po prostu takiego sklepu nie ma.

Kuchnia to osobny temat, który staram się rozgryźć. Za probostwem stoją dwie chaty i tam panie z parafii zawsze coś pichcą. Oprócz nas stołuje się tu cała grupa ludzi. Rano jest do kawy płaski, na modłę arabską pieczony chleb, a w południe i wieczorem ryż i specjalnie przygotowane sorgo z sosem długim (albo „ciągliwym”) z warzywa znanego mi już w RŚA i zwanego tu również veke. Bywa też kura

albo ryba. Jak za rybami nie przepadam, tak tu muszę powiedzieć: pycha! Świeżutka, złowiona tego samego dnia. To menu praktycznie się nie zmienia. Natomiast warzyw i owoców tu nie uświadczysz. Jedzenie nie należy do najważniejszych spraw mej egzystencji, więc nie mam na co narzekać.

Moją fizyczną izolację na tej „wyspie pośród ładu” pogłębia poczucie odosobnienia ze względu na język. Owszem, dogadam się moim angielskim z paroma osobami z otoczenia, ale większość posługuje się tutejszym językiem plemienia Nuer – nie podobnym do żadnego, który znam. Przyjdzie mi się więc zmagać z kolejną trudną rzeczą od początku. Nauczyłem się paru podstawowych zwrotów, ale czekam na materiały do tego języka, które mają mi podesłać z komboniankiej misji Old Fangak, gdzie misjonarze od lat pracują z tym plemieniem. Wielu nauczyło się mówić językiem Nuer, więc czemu ja nie miałbym?

Nie przeraża mnie ta perspektywa zaczynania od nowa, ani taka bezradność wobec ludzi mówiących coś do ciebie – albo może obok ciebie? Wracam pamięcią do czasów sprzed prawie 30 lat i początków mej pracy w RŚA. Było tak samo: nie dowidzi, nie dosłysz, nie załapie, o co chodzi... Pierwsze kilka lat zawsze takie jest. Na nowo powrócił ten fundamentalny problem: nie tyle, co powiedzieć, ale jak powiedzieć! Jak cokolwiek z siebie wykrztusić? Trzeba się upokorzyć i przyjąć, że tak będzie przez najbliższe miesiące. Trochę to trudne, bo człowiek już stary i siwy, a tu taki nieporadny, nie poinformowany... Oprócz języka jest jednak mowa gestów i uśmiech. A ludzie są prości i życzliwi. Jakoś to będzie... Cierpliwości.

Zakończę jednym wspomnieniem z początku pobytu, z marca. Tutaj też był dzień celebrowany pod znakiem zawierzenia Ukrainy i Rosji opiece Najświętszej Maryi Panny. Akurat przyleciałem do Juba. Wieczorem mieliśmy drogę krzyżową po ulicach parafii, a potem Mszę z aktem zawierzenia. Kościół był pełen, wypełniony ludźmi trzymającymi w dłoniach świece. Widok robił mocne wrażenie. Sudańczyków do modlitwy o pokój zaganiać nie trzeba – zbyt dobrze wiedzą, jak kruchy to dar i jak wielki jego deficyt panuje w tym kraju.

Natomiast rano tego samego dnia w Rumbek, miejscowości położonej w centrum RSS, odbyły się święcenia nowe-



go biskupa Christiana. Fakt wart odnotowania ze względu na kilka okoliczności. Nowy biskup jest młodym Włochem (czterdzieści parę lat), misjonarzem-kombonianinem, czyli z tego zgromadzenia, które w XIX wieku przyniosło Ewangelię tu nad Nil. Będzie jedynym białym w tutejszym episkopacie, a mianowany został po prawie dziesięciu latach wakatu – jego poprzednik (również włoski współbrat) zmarł w parę tygodni po uzyskaniu niepodległości przez Sudan Południowy. Po nim władze Kościoła nie były w stanie wyznaczyć odpowiedniego następcy. Taka sytuacja świadczy o tym, jak poważne są tu braki kadrowe. No i największe kuriozum tej nominacji: została ona ogłoszona już dobry rok temu. Biskup nominat, który do tej pory był wikariuszem generalnym w diecezji Malakal, przeniósł się do Rumbek niebawem po ogłoszeniu decyzji, by przygotować się do święceń i objęcia posługi. Po tygodniowym pobycie na miejscu został napadnięty nocą na misji. Złoczyńcy postrzelili go z broni automatycznej w obie nogi pozostawiając jasne przesłanie, że go tu nie chcą i by się stąd wynosił. Został ewakuowany najpierw do szpitala w Nairobi, a potem do Italii. Rany okazały się na szczęście niegroźne – dotknęły tylko mięśni, ale ścięgna, nerwy czy kości pozostały nietknięte. Biskup pozbierał się i po paru miesiącach rehabilitacji zaczął chodzić. Poważny zgryz jednak pozostał: co dalej? Czy pchać nos do gniazda szerszeni? Nie dał się jednak zastraszyć lokalnej mafii i pod-



jął w wierze decyzję, że wróci do powierzonej mu diecezji. Święcenia te były więc jedynym w swoim rodzaju przypieczętowaniem jego oddania się lokalnemu Kościołowi. Św. Daniel Comboni jest często przedstawiany jako biskup kierujący swą zachętą do Kościoła w Afryce: „Wstań i choć o własnych siłach!”. To przesłanie kombonianie w sposób dosłowny aplikują teraz do sytuacji bpa Christiana.



Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



KRS: 0000356850

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz
Nakład: 5500 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65



CARDINALE Massaia

KAWA MIELONA
I ZIARNISTA

Pijąc kawę
Massaia
pomagasz
misjonarzom kapucynom
w Afryce.

Dochód ze sprzedaży kawy jest
w całości przekazywany na misje
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Kawa Cardinale Massaia: mielona lub ziarnista
jest dostępna w sklepie internetowym
www.sklep.kapucyni.pl.

Zamówienia przyjmujemy również telefonicznie
pod nr: 12 623 60 50, wew. 132 lub 668 532 250,
oraz listownie pod adresem:
Fundacja Kapucyni i Misje, ul. Korzeniaka 16,
30-298 Kraków.

Wpłaty za kawę prosimy kierować na konto:
33 1240 4533 1111 0010 4887 1511

